

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Z DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.



I. Drugi wielki konkurs na wypracowania z poparciem Tow. Opieki nad zwierzętami.

Dla uświadomienia w jaknajszerszych kołach należytego obchodzenia się ze zwierzętami, wypalenia okrucieństwa i bezmyślnej złośliwości ogłaszamy

doroczny konkurs (drugi z kolei)

na wypracowania z tej dziedziny, wzorem innych krajów, a zwłaszcza Anglii, gdzie na te konkursy od lat 30 nadsyłają *po kilkaset tysięcy* wypracowań, a rozdawanie nagród jest *uroczyścią narodową*.

To też w tamtych krajach barbarzyńskie obchodzenie się ze zwierzętami domowymi, kaleczenie i krzywdzenie wszelkich stworzeń żywych, nawet roślin — przez złość, bezmyślność lub w celach zysku — zanika zupełnie, uważa się za rzecz ohydną i potępianą przez społeczeństwo, a co za tem idzie zanikają tam również instynkta krwiożercze i chęć dręczenia słabszych, rozwija się i doskonali prawdziwa miłość bliźniego.

U nas, niestety, daleko jeszcze do tego! Pomimo wrodzonej dobroci naszego narodu — zwierzę zbyt często i zbyt powszechnie bywa jeszcze ofiarą dzikości i okrucieństwa, pochodzących głównie z braku oświaty.

Niedawno w pewnej wsi stała się rzecz straszna.

Brat i siostra w wieku lat 10—12, pokłócili się i pobili do krwi o to, które z nich własnoręcznie zabije przeznaczoną na zarznięcie kure!

Włosy wprost stają na głowie wobec tak dzikich upodobań, uważamy przeto, że każde usiłowanie w kierunku wypalenia u nas okrucieństwa i dręczycielstwa jest pierwszorzędnym obowiązkiem społecznym wobec Boga i ludzkości.



Do konkursu tego zapraszamy naprzód wszystkich czytelników „Wieczorów Rodzinnych”, to jest przedstawicieli młodego pokolenia, a również

wszystkich dorosłych,

którym ta sprawa leży na sercu, a zwłaszcza pp. *nauczycieli i nauczycielki szkół miejskich i wiejskich i ochroniarki*, którzy dzięki obowiązkom swego zawodu mogą dostarczyć cennych rad, wskazówek i materiału rzeczowego.

TEMATY.

Za temat do wypracowania może służyć wszystko, co ma związek ze stosunkiem ludzi do zwierząt wogóle. Podajemy tu jednak kilka trudniejszych i łatwiejszych tematów do wyboru.

1. Na czym polega i skąd wypływa obowiązek dobrego obchodzenia się ze zwierzętami. Wpływ dobrego obchodzenia się ze zwierzętami na charakter ludzki.

2. Co rozumiemy przez „Okrucieństwo względem zwierząt” i jaka istnieje różnica między odbieraniem życia niektórym zwierzętom, a okrutnem obchodzeniem się z nimi. Czem można usprawiedliwić tępienie zwierząt szkolnych?

3. Ułożyć lekcję pogładową, o którymkolwiek ze zwierząt domowych ze szczególnem uwzględnieniem, jak się trzeba z nim obchodzić.

4. Jakie są główne cechy złego obchodzenia się ze zwierzętami u dzieci polskich na wsi lub w mieście.

5. Moje ulubione zwierzę; jego cechy zalety i wady; jak z nim postępuję i dlaczego je lubię.

6. Słynne zwierzęta w historii powszechnej lub polskiej. Opisać ich losy i zasługi.

7. Co pisze Mickiewicz o zwierzętach w poezjach swoich. Przytoczyć niektóre piękniejsze odnośne ustępy.

8. Przytoczyć zdarzenie z rzeczywistości, lub skreślić powiastkę na tle życia jakiegokolwiek ze zwierząt krajowych, w których ktoś z dzieci lub młodzieży zapobiegł pastwieniu się nad niem lub wpływał na lepsze z niem obchodzenie się i z jakim skutkiem.

NAGRODY:

Najlepsze prace będą umieszczone w „Wieczorach Rodzinnych” lub „Przyjacielu Zwierząt”, nadto przyznane będzie **kilka cennych nagród w większych dziełach i kilkanaście** (lub kilkadziesiąt) książek oraz listów pochwalnych i t. p.

Termin nadsyłania prac 1 stycznia 1907 roku.

WARUNKI KONKURSU.

1. Każdy ze stawających do konkursu powinien *do d. 1 stycznia 1907 r.* przesłać do redakcyi „Wieczór Rodzinnych” (Warszawa, Mazowiecka № 10) wypracowanie na który z powyższych tematów, napisane wyraźnie, porządnie i poprawnie.

2. Przy wypracowaniu należy podać imię, wiek i adres. Kto w sprawozdaniu nie chce być ogłoszony z nazwiska, niech doda pseudonim.

3. Na kopercie należy oprócz adresu — napisać „Konkurs na wypracowanie” i do tej samej koperty żadnych listów nie włączać. Pakiety z wypracowaniami, należycie nie opłacone, przyjmowane nie będą.

Nagrody będą przyznane przez sąd konkursowy z uwzględnieniem wieku piszących.

II. Konkurs robót ręcznych dla pańienek.

Konkurs ten cieszy się oddawna zasłużonem powodzeniem wśród naszych czytelniczek starszych i młodszych. Plon jego świadczy nie tylko o postępie i zamiłowaniu w robotach ręcznych, lecz ubiera i ogrzewa kilkadziesiąt najuboższych dzieci warszawskich, które przed Gwiazdką oczekują na niego z niecierpliwością.

Nie potrzebujemy więc chyba zachęać czytelniczek „Wieczorów Rodzinnych” do brania udziału w tym konkursu!

Konkurs ogłaszamy na trzy rodzaje robót: 1. *Bielizna dziecięca*, 2. *Sukienki i ubrania*, 3. *Roboty włóczkowe* (kaftaniki, spódniczki i t. p.). Starsze i wprawniejsze pańienki mogą przysyłać próby trudniejszych i zbytkowniejszych robót: *hafty, koronki, wyszywania* oraz *wyroby sztuki stosowanej*, (wypalanie na drzewie, malowania na porcelanie i t. p.).

Tylko przy skrajaniu pomoc starszych jest dozwolona.

Za najlepsze względnie do wieku roboty — redakcyja udzieli *nagrody w książkach*, a wrząc przysłania większej liczby, urządzi małą wystawę tych robót w swoim lokalu.

Do każdej roboty należy przyszyć karteczkę z wymienieniem *imienia, nazwiska, wieku i adresu*; kto nie chce być ogłoszony w sprawozdaniu z nazwiska, niech doda *pseudonim*.

Termin nadsyłania robót — 1 listopada r. b.

P. S. Z powodu trudności przy odbieraniu posyłek zagranicznych, prosimy czytelniczki nasze z zagranicy, aby roboty swoje nadsyłały tylko przez okazyje.

Wspomnienia z lat młodzięńczych.

przez St. Br.

(Ciąg dalszy.)

Proszę sobie wystawić moją radość, gdy na epoletach, zamiast żółtego wełnianego sznurka, zobaczyłem złote galonki! Oczom nie chciałem wierzyć! Ale nie pewny, czy to czasem nie pomyłka, pytałem swoich krawców; odpowiedziano mi jednak, salutując (na seryo salutując) „z rozkazu pana majora“.

Feldkornet! jestem tedy feldkornetem, to jest prawie $\frac{3}{4}$ oficera!

Nabrałem takiego uszanowania dla własnej osoby, że prawie sam sobie salutowałem. Do majora z podziękowaniem nie można było iść, nie będąc wezwany, bo na to karność wojskowa nie pozwalała, więc tylko gdy pierwszy raz przejeżdżał koło mnie, wyciągnąłem się „w strunkę“ i spojrzałem wymownie na niego, on jednak pokiwał tylko głową i pokazał palcem na epolety; była to niema wymówka, za nieodpowiednie do szarzy salutowanie.

Mniejsza o to, zrozumieliśmy się obaj doskonale.

Porozpisywałem listy najprzód do matki, potem do znajomych i t. d. oznajmując *urbi et orbi*, tę radosną nowinę.

Nazajutrz ruszyliśmy tedy dalej, kręcąc się lasami, to nocnymi marszami kołując tak, żeby z jednej strony pokazywać się w miasteczkach i alarmować tam, gdzie się nas niespodziewano, a z drugiej—bitwy unikać. Przytem stwarzaliśmy co raz to nowe nazwiska dla partyi, tak że w końcu nieprzyjaciele ostatecznie stracili rachunek. Tak niedawno „powstanie stłumione“, a tu tymczasem pokazuje się cała masa rozmaitych partyi w rozmaitych miejscach, doskonale uzbrojonych, umundurowanych, złożonych z regularnego, wyćwiczonego wojska, tak piechoty, jak i kawalerii, a nawet po części i artylerii.

To wyćwiczenie i regularność osiągnęliśmy za pomocą maszerowania „z nogi“, którego używaliśmy przy każdym wejściu do wsi lub do miasteczka, rolę zaś artylerii odgrywała nasza wiwatówka, do której w tym celu zaprzęgało się tryumfalnie sześć koni, z owych dragońskich zdobycznych, lufę zaś okrywało się płótnem w taki sposób, by nikt nie mógł zobaczyć. Zaraz za nią szły furgony z ładunkami normalnie po 4 konie w leje zaprzężone, a straż nikogo blisko nie dopuszczała pod pretekstem, że to są nowe, przez Napoleona sekretnie przysłane armaty, nowego, nikomu nieznanego systemu.

W innych razach wiwatówka, jak nie-

pyszna, szła na wóz pod słomę, ku wielkiej zgrozie swego artylerzysty i partya występowała jakoś zupełnie inna, bez artylerii działająca.

Tak tedy włóczyliśmy się w zygzaki i półkoła po całym Radomskiem, manifestując wszędzie obecność potężnych sił zbrojnych narodowych, ale i nieprzyjaciół zaczął ku nam z różnych stron ściągać. Wywijaliśmy się lasami, a szczególniej przejeżdżaniem znacznych przestrzeni na podwodach kłusem, pokazując się w miasteczkach to tu to tam, pieszo, kiedy furmanki w sąsiednich lasach oczekiwały.

W jednym z przemarszów oryginalna spotkała mnie przygoda. Na nocleg stanęliśmy około wsi, jak się później dowiedziałem, Osy, a że dzień był wolny od dyżuru, więc poszedłem spać z żuawami, których postawiono na cmentarzu, z poleceniem wytrzymania pierwszego ataku w razie nadciągnięcia nieprzyjaciela.

Gawędziliśmy sobie z jednym z moich kolegów, galopin-adyutantów i kilkoma żuawami, a potem wyciągnęliśmy się spać pod jakimś dużym nadgrobkiem, układając sobie, że w razie ataku, doskonale będzie z poza owych kamieni ostrzeliwać nieprzyjaciół. I z tem zasnęliśmy.

Rano budzę się i widzę na owym nadgrobku napisane moje nazwisko, to samo i na drugim i na trzecim. Pokazało się, że nic o tem nie wiedząc, spędziłem noc między grobami s. p. mego ojca, dziada i stryjów. Przyszło mi zaraz na myśl, co by to było, gdyby w istocie nastąpiła bitwa i gdybym w tym samym miejscu zginął.

Jednakże do bitwy nie przyszło i ruszyliśmy dalej. Ciągłe kołując, nadciągnęliśmy koło miasteczka Przytyk i Wir do niewielkiego lasu; już nieprzyjaciół z kilku stron do nas się przybliżał, tak że czasami z wiatrem dolatywał nas zapach dziegciu i kapusty.

Na noc właśnie nastąpił mój dyżur. W lesie tym stanęliśmy zaledwie parę godzin, gdy otaczające nas gęsto flankierzy dali znać, że nieprzyjaciół z przodu.

Widocznie Murdelio postanowił atakować, gdyż wysłał żuawów i część strzelców na lewe skrzydło, piechotę Gromeyki na prawe i ruszył z lasu.

Ja zostałem z Naczelnikiem w lesie, gdy jednak wkrótce rozległy się strzały, ruszyliśmy na lewe skrzydło, skąd przypatrywaliśmy się początkowi bitwy.

Widok był wspaniały. Akurat przy wschodzącym słońcu widzieliśmy, jak na dłoni, łańcuch rozstawionych po dwóch żuawów, posuwających się naprzód na zmianę równo i regu-

larnie. Na przeciwko nich masa czarnych punktów, przed którymi wykwitwały co chwila jakby kłębki białej waty, a między naszymi tyraljerami na swym ogromnym koniu uwijał się Murdelio.

„Ależ atakują, jak stara gwardya!“ — mruknął Gryglaszewski — jak na paradzie tak regularnie. Inni ze sztabu bili brawo. Tymczasem w jakiejs kępcie krzaków na lewo, będącej znacznie dalej niż tyraljery nieprzyjacielscy, coś zadymiło i prawie jednocześnie rozległy się jeden za drugim dwa potężne wystrzały, potem wkrótce znowu dwa, ale z innym odgłosem, jak, te które już słyszałem.

W tej chwili między nami, a stojącą po za tyraljerami rezerwą, ziemia silnie zakurzyła się i rozległ się huk pękających granatów.

Zauważyliśmy wszyscy, że nie tylko huk wystrzałów, ale i świst lecących granatów był zupełnie inny niż dawniejsze. Zaraz tedy zaczęto mówić, że to są pewno gwintowane armaty, gdyż z gładkich granaty by tak daleko nie doleciały.

Stwierdziła to potem rezerwa, której się kazano cofać do lasu, a która przyniosła z sobą kilka odłamków, a jeden nawet cały, nie pęknięty granat. Był on znacznie mniejszego kalibru, kształtu głowy cukru; cylindryczna część miała cztery wcięcia wypełnione mosiędзем, tak, że wieńce mosiężne wystawały nieco ponad żelazo. Znać było doskonale na nich wgłębienia od gwintów armaty, zupełnie takie, jak na znajdowanych przez nas kulach karabinowych.

Na szpicu był przyrząd do zapalania, ale nie od lontu, jak w dawnych okrągłych granatach, ale od uderzenia. Przyrząd ten jednak, nie zawsze działał dobrze, gdyż dużo granatów nie pękało.

Ale wracam do opowiadania. Owe punkciki, które już były prawie znikły na skraju horyzontu, ustępując przed naszymi żuawami, zaczęły się znowu zbliżać ku nam. Niebawem wyłoniła się cała czarna linia z której zaczął się sypać ogień już nie pojedynczemi strzałami, ale po kilka i kilkanaście naraz, zupełnie jakby kto łańcuch z żelaznego walca rozwijał.

Nasze łańcuchy tyraljerów zaczęły się cofać ku nam, ale równo i wolno jak na paradzie, tylko, że raz po raz jakaś para zamieniała się w jedynek, a często znikła zupełnie.

Nasz sztab patrzył, aż mu oczy wyłaziły, i bił brawo jak szalony. Ćwiek chciał posyłać pomoc, ale mu słusznie powiedziano, że trzeba czekać aż Murdelio posiłków zażąda, posłał więc tylko kilkunastu ludzi na ochotnika z noszami dla rannych.

Armaty wciąż grały i granaty według swego zwyczaju wyły nad naszymi głowami, czyniąc ogromne spustoszenie w wierzchołkach drzew, niekiedy pękały w górze, uderzywszy o jakąś grubszą gałąź.

— Ot byłaby naganka — powiedział któryś z byłych kozaków Czajkowskiego i w tej chwili między nami smykął szarak i rwał jak szalony w pole. — Nie wytrzymali nasi myśliwi i ku okropnej zgrozie oficerów puszczonego za nim kilka strzałów. Ale, że Murdeliona nie było, więc im to jakoś na sucho uszło, szarak zaś szczęśliwie umknął.

Wkrótce potem przyleciał kawalerzysta od majora i coś powiedział naczelnikowi a ten, pokazując szablą na ucierającą się na prawem skrzydle piechotę Gromeyki i Rudowskiego, rzekł do mnie:

— Stefek, ruszaj do Gromeyki i Rudowskiego i powiedz im, żeby się cofali i ściągali ku nam, *et dites, que la bataille est perdue* (i powiedz, że bitwa przegrana). Rudowski i Gromeyko nie tracili czasu, piechota ich bowiem doskonale wyrobiona nie ustępowała naszym żuawom; w odstępach, gdy armaty i tyraljerka u nas trochę przycichała, słychać było doskonale z ich strony gęsty trzask ognia karabinowego, jakby kto groch na ścianę sypał.

Ruszam tedy z Bożą pomocą tegim galopem na sztych przez pole, od czasu do czasu to po jednej to po dwie grają kule koło mnie, przede mną pykają kłębki kurzu, a ja sobie myślę: „kot się wymknął, choć po linii w niego z tyłu palili, a ja przecie mam strzały z boku, no i sto razy dalej, nie będzie mi nie!“

Nareszcie mijam jakieś krzaki i wpadam na kolumnę Gromeyki, która już sama ku nam ściągać zaczynała, a musiało im być dobrze gorąco, bo rozmowę na kule z bliska prowadzili, skoro jeszcze z daleka słyszałem parę razy głośny huk naszej wiwatówki, która nabijana siekańcami tylko na bliski dystans mogła być użyta.

Wpadam tedy między oną piechotę i pytam o naczelnika, tymczasem nikt mi nie odpowiada, a wystrzały huczą i huczą, przed sobą widzę doskonale o kilka kroków szare szynele rosyjskie. Robi się formalna kasza, choć zupełnie niepodobna do tego, co zwykle malują i rysują. Chcę się wycofać, ale krzaki gęste, ludzie też ze wszystkich stron częstują się wzajemnie, ugaszczając czem kto może i jak może na wybór.

Wybieram jakąś lukę i prę się tamtędy, mając dobytą szablę w ręku, lecz niestety rewolwer bez nałożonych pistonów, choć nabity na wszystkie 6 strzałów.

Z krzaka do którego się moja szkapa jakos wpakowała, widzę, że niebieski bagnet widocznie w złych zamiarach ku mojemu prawemu boku między gałęziami się kieruje, chcę go odbić i przy okazji ciąć jakiś łeb w kepi z czerwonym lampasem, który zaraz za bagnetem widzę.

Jednakże ja chcę inaczej, a on znowu inaczej, gdyż w chwili gdy już pałasz na ten łeb spuszczał, poczułem w samym przegubie prawej ręki silny ból: pałasz wyleciał mi z ręki, a ręka zdrętwiała.

Schwyciwszy lewą ręką kulbakę, dałem ostrogę koniowi, a ten przesadził przez krzak, gdzie stał mój przeciwnik, który także widocznie coś oberwał, ale czy ode mnie czy od kogo innego tego nie wiem. Spostrzegłem tylko, że padał na ziemię, kiedy mój koń przez niego szczupakiem przeskoczył i szalonym pędem poniosł mnie, nazad niekierowany zupełnie.

Cała ta rozprawa nie trwała pół minuty. Żeby nie te przeklęte pistony, które mi przed samą bitwą gdzieś z ładowniczeki się wysypały, byłaby i łapa cała i byłbym nałuszczył nieprzyjaciół na wybór! Ale stało się.

Rwę tedy, nachyliwszy się, tam gdzie się panu koniowi chce, a ten pocziwy wprost mnie przynosi do lasu, do tego miejsca, gdzie stał Iwan (jeden z tych ujętych pod Kowalami dragonów, co się do nas dobrowolnie przyłączyli) z dwoma zapasowymi końmi naczelnika i majora.

Pocziwe człeczysko, bardzo mnie lubił, a ja jego. Zaczął tedy głową kręcić nad moją ręką, z której krew lała się porządnie, nareszcie obwinał jako tako chustką od nosa, potem zapasowym rzemieniem od trzeźelki i tak ruszyliśmy ku punktowi opatrunkowemu wśród ciągłego huk i gwizdu pękających granatów, których Iwan specjalnie nie lubił:

„Isz ty proklataja, kak nojet, edakaja kak czelowieka rwaniet, sowsiem izorudujet“.

Dziwne bowiem, że ten sam Iwan, który pod najcięższym gradem kul karabinowych stał sobie spokojnie, pykając fajeczkę, okropnie się bał granatów, z których myśmy sobie znów nic nie robili, wiedząc z praktyki, jak one na pozór groźne, w gruncie rzeczy najczęściej pękały gdzieś daleko za nami.

Młodym przyjaciółkom.

Póki życiem wre pierś młoda,
Nadaremno marzyć szkoda,
Płakać szkoda nadaremno,
Że jest zimno, że jest ciemno.

Dalej śmiało, zawsze śmiało
W czynach duszę uwieź całą,
A zagarniesz gwiazdy z nieba
Żyć i umieć żyć potrzeba.

Z. Z.



„Macierz Szkolna, i „Sokół.”

W pierwszej połowie czerwca uzyskały zatwierdzenie władz dwa doniosłe stowarzyszenia polskie, których działalność będzie się rozciągała na całe Królestwo.

Pierwsze z nich, Polska Macierz Szkolna, bierze sobie za cel krzewienie oświaty, czyli kształcenie ducha, drugie „Sokół” zajmie się fizycznym kształceniem ciała.

Macierz Szkolna powstanie swoje zawdzięcza gronu ludzi dobrej woli z Henrykiem Sienkiewiczem i mecenasem Antonim Osuchowskim na czele, którzy, korzystając z praw pozyskanych w ostatnich czasach, podjęli starania około założenia tej niezbędnej instytucji.

Z powodu warunków, niezależnych od społeczeństwa naszego, Królestwo Polskie w latach ostatnich pod względem ilości nie umiających czytać i pisać stało w sąsiedztwie okręgów syberyjskich. By kraj wydzwignąć z tej ciemnoty niezbędna jest praca całego społeczeństwa, a właśnie jak doświadczenie innych krajów pokazało, że wymienimy tylko Czechy, instytucjami, które najlepiej działalność społeczną w kierunku oświaty zogniskować potrafią, są tak zwane Macierze Szkolne.

Dla osiągnięcia postawionego sobie celu Polska Macierz Szkolna będzie zakładała utrzymywała i popierała w miarę posiadanych środków ochronki, szkoły ludowe, kursy dla dorosłych analfabetów, szkoły ochraniarek i seminaria nauczycielskie, czytelnie ludowe i biblioteki, wreszcie szkoły średnie i wyższe wszelkich typów.

Następnie będzie urządziła odczyty i wykłady; zakładała domy ludowe dla celów oświaty i zabawy towarzyskiej; wydawała i rozpowszechniała polskie podręczniki i czasopisma naukowe, pedagogiczne oraz ludowe; udzielała kształcącej się młodzieży stypendya, zapomogi i wszelkie pomoce naukowe.

Organizacya Macierzy będzie następująca: kraj cały pokryty będzie siecią poszczególnych Kół Macierzy, które zakładane będą wszędzie

tam, gdzie będzie uznana potrzeba założenia Koła i gdzie znajdzie się przynajmniej 30 osób, które, jako członkowie rzeczywisci, wystąpią z zapoczątkowaniem i wyrażą gotowość pracy dla stowarzyszenia.

Poszczególne Koła związane będą w okręgi, których liczbę i obszar określi zgromadzenie ogólne.

Na czele okręgu stać będzie zarząd okręgowy, wybrany przez zebranie okręgowe, składające się z przedstawicieli wszystkich Kół pewnego okręgu, a ponad tymi okręgami stać będzie zarząd główny.

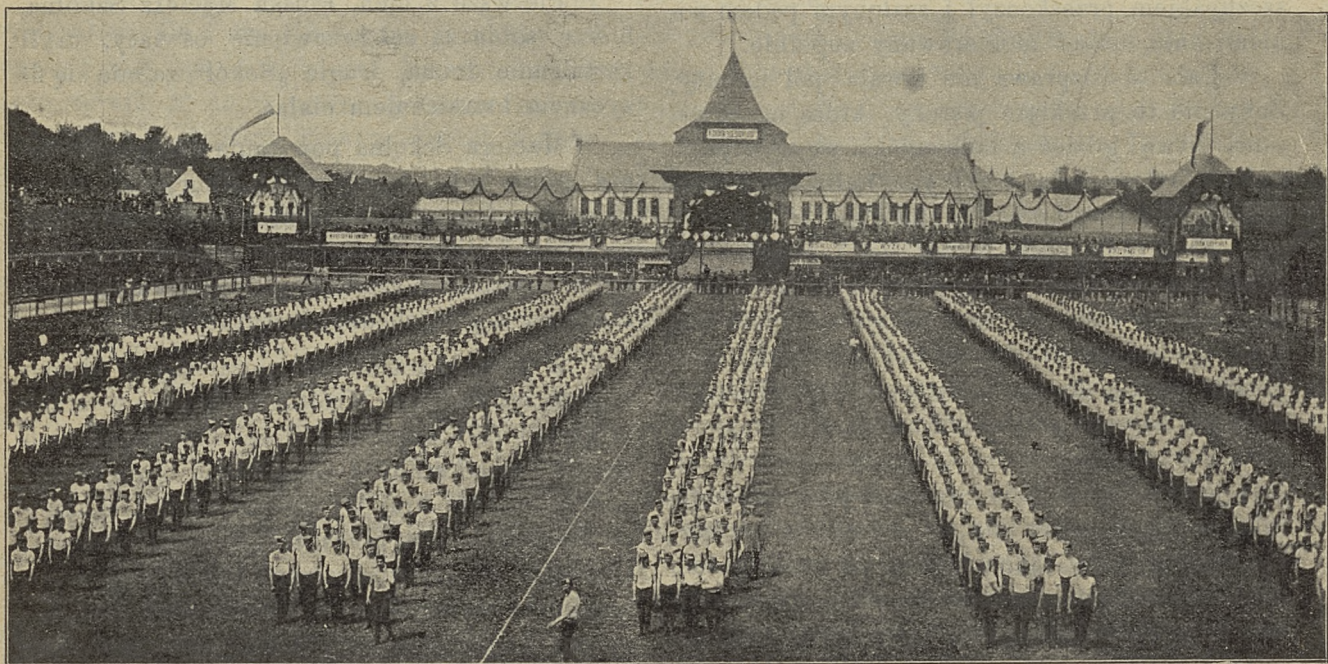
Niezależnie od głównego zarządu utworzona jeszcze będzie rada nadzorcza, złożona z 10-ciu członków, wybranych przez zgroma-

dą mogli zostać bezpośrednio członkami Macierzy, to jednak w duchu jej celów w miarę sił i możliwości pracować nie omieszkają...

* * *

Stowarzyszenia gimnastyczne „Sokołów“ istnieją od lat wielu w Czechach, od dłuższego też czasu posiada je Galicya i Poznańskie, choć w tej dzielnicy ogromnie są prześladowane przez rząd niemiecki, który w swej niechęci do polskości nawet w instytucyi, mającej na celu fizyczne kształcenie człowieka, upatruje jakichś zamiarów wrogich państwu.

„Zdrowa dusza w zdrowem ciele“ oto hasło, pod którem działają „Sokoły“, zyskując sobie wszędzie sympatyę i uznanie ogółu. I u nas



Ćwiczenia Sokołów pod Lwowem.

dzenie ogólne oraz z przedstawicieli poszczególnych okręgów.

Funduszków niezbędnych do spełnienia tych wielorakich prac i urządzeń winno Macierzy Szkolnej dostarczyć społeczeństwo przez ofiary i przez zapisywanie się jaknajwiększej ilości osób na członków stowarzyszenia.

A członkiem może być *każdy, kto zobowiąże się opłacać przynajmniej 1-go rubla rocznie*. Składka jak widzimy nie wysoka, ale bo też o to idzie, żeby do Macierzy mogli przystępować nie tylko ludzie zamożni lecz wszyscy, którzy rozumieją i odczuwają potrzebę krzewienia oświaty.

Mamy nadzieję, że i czytelnicy „Wieczorów“, choć, jako jeszcze nie pełnoletni, nie bę-

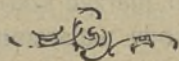
nie inaczej się dzieje, ledwie powstało stowarzyszenie, a już liczy setki członków, którzy z zapałem oddają się ćwiczeniom.

Do „Sokołów“ mogą należeć zarówno mężczyźni jak i kobiety, tworzące oddzielne „gniazda“ czyli koła „sokolic“.

Przyjętym zwyczajem, co lat kilka odbywają się zjazdy „Sokołów“ z różnych stron zwane „zlotami“, na których odbywają się zbiorowe popisy gimnastyczne.

Fotografię jednego z takich zlotów we Lwowie podajemy w dzisiejszym numerze.

A. L. S.



JULIUSZ VERNÉ.

✠

Wśród Łotyszów.

Przekł. J. P.

(Ciąg dalszy.)

Jerzy głosem urywanym powtórzył rozdzielającą scenę, która zaszła pomiędzy nim i Martą. Skarżył się, że pomimo gorących prośb i błagań z jego strony Marta była nieugięta.

— Niestety, przepowiadałem ci to, mój Jerzy... Znam Martę... woli jej nie złamiesz, nie...

— Doktorze!.. nie odbieraj mi resztek nadziei... pomóż przekonać ją...

— Nie, Jerzy, nie łudź się na próżno... Marta niezdolna jest do układów... uważa się za córkę mordercy w oczach świata...



Święci apostołowie Piotr i Paweł.

(Z obrazu Buchbindera.)

— A jeżeli nią nie jest?... Jeżeli Matias Ozolin czynu tego nie popełnił?!

Paolin odwrócił głowę i nie odpowiedział na zapytanie w kwestyi, którą uważał już za roztrzygniętą.

Jerzy opanował się wreszcie i zabierał się do wyjścia. Żegnając się z Paulinem rzekł stanowczo:

— Muszę ci oświadczyć, doktorze, że Martę uważam zawsze jako swoją narzeczoną... i będę czekał...

— Na co?

— Może się coś zmieni... Może Bóg się nad nami zlituje...

* * *

Upłynęło parę miesięcy. Sprawa Pocha i Ozolina poszła w niepamięć. Nawet Francisek Johansen, zwycięzca na wyborach do rady miejskiej, przestał się rodziną Ozolinów zajmować.

Lecz Jan i Marta postanowili przyjąć na siebie dług ojcowski. Pragnęli — o ile to będzie w ich mocy — oczyścić jego pamięć. W tym celu umyślili sprzedać dom i bibliotekę profesora. Żyć będą z własnej pracy. Marta zajmie się nauczycielstwem... W Rydze byłoby to pewnie trudne... lecz w jakimś innem mieście może się uda... Jan postara się o miejsce urzędnika w jakiejś instytucji handlowej lub finansowej.

Tymczasem drobne oszczędności pozostałe po ojcu wyczerpywały się z każdym dniem. Należało przyspieszyć sprzedaż ruchomości.

W załatwianiu tych interesów dopomagał im Jerzy. Kilkakrotnie nawet oddawał do ich rozporządzenia to, co mu z depozytu ojcowskiego pozostało, lecz Ozolinowie propozycję jego odrzucili dumnie i stanowczo.

Po jakimś czasie, widząc, że Marta ochłonęła nieco z pierwszego bólu, Jerzy błagał ją znowu, by się zgodziła na ich ślub. Lecz ona twierdziła uparcie, że żoną jego zostać nie może... że wina ojca rozdzieliła ich na zawsze.

Jerzy tracił głowę.

Paulin, widząc jego rozpacz, próbował skłonić Martę do zmiany postanowienia. Lecz wola młodej dziewczyny była nieugięta.

— Córką mordercy nie może zostać żoną uczciwego człowieka — odpowiedziała na wszystkie argumenty, które mi ją przekonać starano.

Odmowa Marty wywarła wielkie wrażenie w całej Rydze. Przyznawano jej słuszność, lecz zarazem podziwiano siłę charakteru.

Znowu czas jakiś upłynął bez zmiany. Nic godnego uwagi nie zaszło.

Wtem 17-go września młodzi Ozolinowie odebrali list od pastora Szyleina, który prosił Jana i Martę, aby o 5-ej po południu przybyli na cmentarz protestancki.

Identycznie zredagowane listy otrzymali Jerzy i doktor Paulin.

Wszyscy zachodzili w głowę, co znaczy podobne wezwanie.

— Jak sądzisz, doktorze? Co mamy robić? — zapytał Jerzy.

— Mojem zdaniem, powinniśmy bezwarunkowo spełnić żądanie pastora Szyleina. Jest to człowiek tak zacny, że z pewnością nie wzywałby nas daremnie. Widocznie musi mieć do tego ważne powody...

— Czy przyjdiesz, Marto? — zapytał Jerzy, zwracając się do narzeczonej, która przysłuchiwała się w milczeniu.

— Nieraz już chodziłam na grób ojca — odparła zapytana — pójdę i tym razem. Może Bóg nas prędzej wysłucha, gdy pastor Szylein do prośb naszych dołączy swoje...

— Do widzenia, zatem! Spotkamy się o piętej! — zdecydował Paulin, żegnając się z rodzeństwem.

Jerzy wyszedł z nim razem.

Punkt o piątej Jan i Marta stanęli przed bramą cmentarza, gdzie Jerzy i Paulin czekali na nich. Poczem udali się wszyscy na grób Matiasa, przybrany kwiatami.

Przy grobie klęczał siwowłosy starzec. Był to szanowany powszechnie siedmdziesięcioletni pastor Szylein.

Na odgłos kroków podniósł głowę i widząc nadchodzących powstał z ziemi. Oczy jego gorzały blaskiem niezwykłym. Wyglądał jak natchniony.

W milczeniu uściśnął dłonie przybyłych i skinął, by uklękli. Poczem rzekł:

— Jerzy, podaj mi rękę!

A wracając się do Marty dodał:

— I ty, Marto, również!

Dłonie ich połączył ze sobą. We wzroku jego i w głowie było tyle siły, w wyrazie twarzy tyle dobroci, że młoda dziewczyna nie śmiała się opierać.

Wtedy pastor wyzeździł bardzo powoli i bardzo uroczyście:

— Jerzy i Marto! przyrzeknijcie sobie i mnie, że jutro odbędzie się wasz ślub.

Marta bezwiednie prawie wyrwała swą rękę z dłoni Jerzego.

— Marto, uspokój się — rzekł pastor łagodnie — pamiętaj, że od jutra będziesz żoną tego człowieka, i że on na to zasługuje...

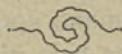
— Nigdy! — przerwała żywo — córka mordercy nie ma prawa...

— Córka niewinnie oskarżonego... — odparł pastor, wznosząc oczy ku niebu.

— Któż więc jest mordercą Pocha? — zapytał Jan, drżący ze wzruszenia.

— Właściciel szynku „pod złamanym hakiem”... Kroffl!...

(Dokończenie nastąpi.)



Archeolog w opałach.

Krotochwila w I akcie.

(Ciąg dalszy.)

SCENA IV.

Ludwik i Zapiecki.

Zapiecki (w biegu z impetem, zobaczywszy Ludwika otwiera, ramiona). A jak się masz kochany panie Mumiewicz, my tu na pana czekamy oddawna. Ja, moja żona, moje panienki, wszyscy na pana czekamy z niecierpliwością i tęsknotą... (całuje go). Proszę niech pan siada... znakomity nasz kochany gościu.

Ludwik (n. str.). Za kogo on mnie bierze właściwie?

Zapiecki. Dawno kochany pan w naszym mieście?...

Ludwik (zmieszany). Ja?... ja? czy dawno w mieście?... a szanowny pan? bo widzi kochany pan... ja wogóle lubię palić papierosy choć mi to wzbronione... no ale czasami...

Zapiecki. Czasami oczywiście można pozwolić sobie (częstuje).

Ludwik. Dziękuję (zapala).

Zapiecki. Jakiego szanowny doktor doznał wrażenia, gdy przeczytał mój list... co?... Można wiedzieć?

Ludwik (niewyraźnie). Hm, no naturalnie, że doznałem wrażenia... jeżeli zaś panu chodzi o coś głębszego, to ja wogóle czasami oczywiście uczuвам smutek... kiedy naprzykład, paląc cygaro, sparzę się w palec... A pan?...

Zapiecki (n. str.). Po jakimu on mówi? No ja naturalnie... ale pan doktor...

Ludwik. Ja?... no oczywiście... ale szanowny pan ma zdaje się znakomite zbiory... które mogą zadziwić swoją rzadkością świat cały. Czy nie mógłbym je obejrzeć?

Zapiecki. Ależ szanowny doktorze, przecież ja prawie jedynie w tym celu kochanego doktora ośmieliłem się fatygować, by się przed nim swoimi skromnymi zbiorami pochwalić... Nie ma pan pojęcia, jak się szalenie uradowa-

łem, przeczytawszy w gazecie, że nasze małe miasto jest zaszczycone obecnością tak znakomitego uczonego.

Dr. Mumiewicz! panie — doktor Adam Mumiewicz — to sława! to potęga!

Ludwik (skromnie). Ale kochany pan mię zawstydza. Zrobiło się coś dla nauki, no naturalnie, ale są większe powagi ode mnie! (n. str.) Co to za Mumiewicz, nigdy o nim nie słyszałem?

Zapiecki (z zapalem). Niema! niema!... słowo honoru... dlatego dowiedziawszy się o bytności pańskiej u nas, zaraz sobie powiedziałem, ten mi powie, ile są warte moje zbiory i czy Jan Zapiecki może się spodziewać pomnika.

Ludwik (przykładając rękę do serca). Może... panie kochany może!...

Zapiecki. W takim razie chodźmy oglądać moje zbiory...

Ludwik. Owszem, owszem (n. str.). O joj już się zaczyna!...

Zapiecki. Po drodze pokażę panu znakomitą rzecz, prawdziwą urnę Kiejstuta, niedawno wykopaną przy budowie kolei żelaznej (bierze do ręki jakieś naczynie gliniane ze słupka). Cóż pan na to powie?

Ludwik (patrzy pod światło, puka, zagląda do środka, wacha — myśli — po chwili mówi). Jeśli autentyczna, to warta co najmniej 10,000 franków.

Zapiecki. A widzi pan?... a widzi?... (po chwili). Panie, ja miałem osobliwą rzecz... cały świat mi tego zazdrościł... ale niestety ten nicpoń chłopak stłukł mi.

Ludwik. Jaki chłopak?

Zapiecki. Miałem go tu u mnie na stancyi, urwis! Mówię kochanemu doktorowi stłukł mi wspaniałą urnę z popiołami króla Popiela.

Ludwik (niby oburzony). A to niecnota dopiero! taką szkodę zrobić... (n. str.) Bodaj...

Zapiecki. Panie, co ja wycierpiałem! Bóg jeden wie i ja...

Ludwik (potakuje głową).

Zapiecki (pokazując w szafie za szybą). A tu uważasz pan... jedna cegiełka z wieży Babel... to odłamek z kolosu Rodyjskiego... tu zakurzona róża z ogrodu królowej Semiramidy, a tu (ciszej) jabłko z drzewa wiadomości złego i dobrego. Doktor wiesz... tego z raj.

Ludwik. Do kroćset.. 'A to osobiwości! To skarby!

Zapiecki. Jak u Rotszylda, he, he... kochany doktorze... No, ale chodźmy do mego muzeum!

Ludwik. A chodźmy, chodźmy (n. str.). kiedyż się to skończy! (wychodzą).

SCENA V.

P. Krystyna, Jadzia, Marynia, Kazia.
(wchodzą rozprawiając).

P. Krystyna. Ale moje panienki powiedzcie właściwie, o co wam chodzi?...
Kazia. O Ludwika! o Ludwika nam chodzi!...

Jadzia. Poczekaj, ja powiem!...

Marynia. Tak... Ludwik powinien...

Jadzia. Poczekaj-że.. Proszę paniusi złotej Ludwik... przyjechał tu dzisiaj.

P. Krystyna. Co Ludwik... tu!

Jadzia. Tak... musiał.. przyjechać. Ojciec napisał do niego — żeby się koniecznie pogodził z państwem — inaczej będzie się na niego bardzo, bardzo gniewał...

Kazia. I nie kupi mu roweru na wakacje i nie da nic na utrzymanie.

Jadzia. Cicho, dajże mi mówić...

Kazia. Ja chcę tak samo coś powiedzieć.

P. Krystyna. Zdaje mi się, że was rozumiem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa chcecie, abym się za Ludwikiem wstawiła? Czy tak?

Wszystkie. Tak, tak, tak!...

P. Krystyna. Dobrze, uczynię, co będzie w mojej mocy, ale wiecie, jak mój mąż jest do niego uprzedzony i rozżalony. Ale gdzie jest Ludwik?...

Jadzia. Rozmawia z panem Zapieckim...

P. Krystyna. Jakto, więc rozmawia, w takim razie musieli się pogodzić!

Jadzia. Ludwik jest przebrany, jeżeli rozmawiają, to napewno pan Zapiecki nie wie z kim

P. Krystyna. Taak... (namyśla się). To nie dobrze! to jakieś figle. Ale spróbuję, spróbuję koniecznie!

Wszystkie. Kochana! złota! droga! pani Krysta (rzucają się jej na szyję, ściskają i całują).

P. Krystyna. No idźcie już, idźcie... Co do mnie, wszystkich starań użyję zwłaszcza że i mnie ta archeologia kochanego Jasia i te kłótnie już dawno się sprzykrzyły...

Jadzia. Idziemy, idziemy, każda w inną stronę... (wychodzą).

(pauza).

SCENA VI.

P. Krystyna, p. Zapiecki, Ludwik.

Ludwik (wchodzi). Kochany panie hm, hm! nigdy nie spodziewałem się, aby w takim zapadłem kącie znalazły się takie wspaniałe zbiory... To coś kolosalnego, fenomenalnego... (spostzegając p. Krystynę, na str.). Pani Krystyna, czy aby ona po naszej stronie...

Zapiecki. Złoty doktorze mój jedyny, z twoich słów balsam kojący na ranę mego serca

splywa. Ale przedstawiam ci moją żonę... Krystyna Zapiecka, skromna gospodyni, ale która raz, asystując przy kopaniu brukwi w ogrodzie, spostrzegła ów krzemień z epoki Jurajskiej, do-
kór pamięta?

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Pielgrzymki młodzieży szkolnej na Jasną Górę. Na wiecu prefektów szkół w Częstochowie uchwalono odbywać w czasie odpowiednim wspólne pielgrzymki uczni na Jasną Górę, jako miejsca uświęconego szczególną czcią dla Matki Boskiej i pełnego pamiątek historycznych o bohaterskich walkach w obronie najwyższych ideałów.

Pierwsza, taka pielgrzymka młodzieży szkół Piotrkowskich odbyła się w maju r. b. pod przewodnictwem ks. prefekta Szablewskiego.

Cała rzesza pielgrzymów liczyła 1300 młodzieży płci obojga. Obok podniosłych wzruszeń nie brakło wesołości i dobrego humoru.

Zwłaszcza wesoły był obiad na świeżem powietrzu w dziedzińcu klasztornym.

Zamach w Madrycie.



Chwila po wybuchu bomby: królowę w stroju ślubnym wysadza z karety ambasador angielski, a król Alfons daje znak wojsku, aby nie strzelało do domu, skąd rzucono bombę.

Pielgrzymka ta została niezatarte wspomnienie wśród uczestników.

Koronacja króla Hakona. W zeszłym tygodniu z wielką uroczystością odbyła się koronacja królewskiej pary norweskiej w prastarem mieście Drontheimie. Ceremonia miała charakter niezwykle, bo też i sam akt koronacji króla niezależnej Norwegii do niezwykle się liczy. Wprawdzie 30 lat temu w temże samem Drontheimie koronował się koroną norweską król Oskar, Norwegowie jednak uważali go za króla „niezupełnie“ swojego, bo też Oskar był przedewszystkiem królem szwedzkim jak nim jest dotychczas.

Przed starożytną katedrą, obok głównego wejścia, ustawiono pawilon. Tu oczekiwało na przybycie pary królewskiej duchowieństwo i wyżsi dygnitarze państwowi. Tu też wysiadł król Hakon z małżonką, powitani przez zebranych i prowadzeni przez nich w uroczystej procesji do kościoła.

W pośrodku świątyni stało podwyższenie z dwoma fotelami tronowymi pod baldachimem królewskim. Tu wprowadzono parę monarszą wśród śpiewu chóralnego. Gdy król z królową zajęli miejsca, biskup Chrystyanii wygłosił mowę okolicznościową. Była to pierwsza część ceremoniału.

Następnie król i królowa procesjonalnie udali się przed wielki ołtarz, na którym leżały insygnia królewskie. Sędzią trybunału najwyższego z biskupem Drontheimu włożyli na monarchę płaszcz królewski. Król Hakon przyklęknął i otrzymał namaszczenie olejem św. na skroni i w zgięciu prawej ręki.

Po dokonaniu tego ceremoniału, król powstał i udał się do tronu obok stojącego, na którym zasiadł. Minister stanu Michelsen z biskupem Drontheimskim zdjęli z ołtarza koronę i włożyli ją na głowę królowi.

Tymczasem królowa klęczała przed ołtarzem, gdzie biskup błogosławił, poczem ubrano ją również w płaszcz królewski i namaszczono. Królowa następnie zajęła miejsce obok swego małżonka.

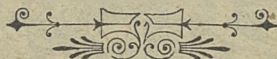
Biskup od ołtarza zawiadomił zebranych, że ceremonia koronacji została dokonana. W tej chwili wśród dźwięku muzyki kościelnej rozległy się powitalne strzały armatnie a równocześnie rozpoczęła się w kościele defilada przed tronem królewskim. Długi orszak poprowadzili biskupi, za nimi szli wyżsi dygnitarze zebranych w kościele.

Po ukończeniu pochodu uszykowała się procesja, do której i para królewska się przyłączyła i wyszła z kościoła w tym samym porządku jak do niego weszła.

Drontheim jest odwiecznem miastem koronacyjnem dawnych królów norweskich. Niegdyś, w cza-

sach zamierzchłych, było ono siedzibą królewską. Historia wspomina o potężnym królu Olafie Trygvasonie, który stąd rządził w X wieku. Następca jego Olaf w początku XI wieku wprowadził do Norwegii wiarę chrześcijańską i rządząc w Dronheimie, zjednoczył całą Skandynawię.

Z biegiem czasu miasto podupadło i dziś ma tylko znaczenie historyczne.



Skrzynka do listów.

Jaskółka nigdy nie zapomina tych *Kalino*, którzy się do jej gniazda z dobrem słowem zgłosili, sądziłam tylko, że może zamilkniesz po pierwszym liście, jak to robią czasem moi korespondenci i dlatego dałam twój pseudonim innej, bardzo miłej korespondentce, które odąd młodszą Kaliną zwać będę. Czy zgoda? Co do powiastki, to sąd o niej wyda redakcja, mnie podobają się pomysły. Lubię zuchów dążących śmiało po zdobycie upragnionego celu, a i cel sympatyczny, któż z nas nie pragnie gonić za białym orłem. Twój bohater na tatrzańskich turniach go wypatrzył, bodajby zaś wolno nam już było pracować wszystkim pod tym droгим sercu polskiemu znakiem.

Długo kazałaś mi czekać na swój list *Awo*, a szkoda, bo umiesz zająć tem co piszesz i zdaje mi się prawie, że znam twego konia, że z tobą odwiedzam stare kurhany szwedzkie, i dumanie nad kośćmi nieznanych bohaterów, którzy „śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy.“ Czy twoja siostrzyczka zawsze równie łaskawo pisze wierszyki? a czemu nie donosisz nic o biednym garbatym Olesiu, jak idzie jego nauka?

Komar z Maciejówki pisze tak starannie, że Jaskółka, wdzięczna za oszczędzanie jej wzroku, chętnie uściskałaby tego Komara. Tymczasem pragnie posłać mu katalog książek z podkreśleniem najwięcej polecenia godnych, niech więc Komar prędko i wyraźnie wypisze swój adres w liście do Redakcyi.

Zosię Róż... chętnie zaliczam do naszego grona i proszę, żeby mi doniosła dużo o sobie szczegółów, bo dobra znajomość do dobrej przyjaźni jest drogą.

Przykro mi *Potoku Górski*, że nie mogę zadość uczynić twojej prośbie, ale nie znalazłam wskazówek, o które pytasz, a nie znam też i żądanego adresu. Daruj zawód i napisz donosząc o dzieciakach, które uczysz i o tem co porabia szlachetne serce.

Za wiele wrażeń przechodzisz biedna *Brzozo!* egzamina i choroba w domu to istotnie stargać może nawet młode siły, współczuję ci też z całego serca, a mam nadzieję, że skutki koklusu nie dadzą się wami długo odczuwać i egzamin zdasz doskonale. Pamiętaj napisać znów, dziś nie śmiem dawać ci żadnych rad, tylko ze szczerem współczuciem tulę do serca.

Jakiż ptak mógłby się gniewać na słabe pisklę? Nie znam takiego potwora *Stokrotko z Borsuków*, to też da-

rowuję ci z serca długie milczenie i proszę Boga o zdrowie dla ciebie a także dla Helenki, współczując biednej, szanownej waszej Mamie. Co porabiają twoje trzy lalki, czy umieją się pocieszać w biedzie?

Dziękuję *Bożę krowko* za miły list i cieszę się z tobą na przyjazd mamusi, a za Zosiunię, że zobaczy kochaną starszą siostrzyczkę. Czy braciszek Zygmunt będzie także z wami? Tacy panowie bracia często płatają figle siostrzom, donieś jak to było, może twoja Marychna padła ofiarą zabawy: znam wypadki, gdzie lalka leczona przez doktora traciła głowę w czasie kuracyi.

Jaskółczy ogon z nad Lydny to także nowa korespondentka, pseudonim motyla a zdradza bardzo poważne zamiłowanie do nauki. Szkoda że nieśmiałość wstrzymywała motyla od pisania, byłaby Jaskółka cieszyła się dawniej obiecującą korespondentką. Czy znasz powieści historyczne Rzewuskiego i Czajkowskiego? A może wolisz pamiętniki, to w takim razie tobie, i wszystkim moim starszkom, radziłabym przeczytać pamiętniki arcybiskupa Felińskiego.

Cieszę się *paskudny Dzieciaku*, że słowa zachęty do czynu trafiają do twej serca, ale bo też niedarowanym grzechem, bardziej niż kiedykolwiek, jest dektowanie się często urojonymi smutkami, kiedy coraz szersze pole pracy społecznej otwiera się przed nami. Czy jesteś członkiem Macierzy? czy rozumiesz doniosłość takiej instytucyi, jeśli wszystkie dzielne serca przyłożą do niej rękę? A stary ptak, jak z solidarności ptasiej wypada, cieszy się i swobodą związku „Sokołów“. Zdrowa dusza tylko w zdrowym ciele mieszkać może, a gimnastyka, wspólna zabawa na świeżem powietrzu, złoty wszystkich gniazd, przyczynia się pewnie do uzdrowienia wielu przechudzonych chorobliwych dusz. Więc czołem przed dzielnymi sokołami i sokolicami, a sercem w pracy, której Macierz da nowy pęd, oto na dzisiaj do was ostatnie przed wakacyami zawołanie

Jaskółki.

OFIARY.

— Dla dzieci ofiar pogromu Białostockiego:
I. B. 1 rb. — C. Z. 1 rb. — Rodzina K. 1 rb.

TREŚĆ:

Konkursy «Wieczorów Rodzinnych». — Wspomnienia z lat młodzieńczych, przez St. Br. — «Macierz Szkolna» i «Sokół» (z ryc.), przez A. L. S. — Święci apostołowie Piotr i Paweł. — Wśród Łotyszów, przez J. Verne'a. — Archeolog w opałach, (krotochwila). — Ze świata (z ryc.). — Skrzynka do listów. — Od Redakcyi. **Dodatek:** Dżdżownica (z ryc.), przez Maryę Weryho. — Monolog Izetki, przez Gabryelę Jundziłłową. — Chronologia Królów Polskich, przez Aryelę. — Feniks i dywan czarodziejski (z ryc.). — Zadania i łamigłówki.

Polecamy najnowsze wydawnictwa komitetu damskiego przy Towarzystwa Opieki nad zwierzętami:

1. *Piękny Bill* — historia prawdziwa pocziwego psa — 40 k.
2. *Nasi przyjaciele* — dla małych dzieci 27 kop.
3. *Pomocnicy człowieka* — w druku.

Książki powyższe dostarczą bardzo wiele materiału do wypracowań na tematy, wymieniane w konkursie.



OD REDAKCYI.

Śród mroczne tło skłębionych chmur
 Jaśniejsza błyska zorza,
 Kruszy się już kamienny mur
 Co ścisnął jak obroża...
 Młodzieży polska naprzód dąży,
 Radosnym stań się zjawem,
 Z wolnością łąd i miłość wiąż,
 A obowiązek z prawem!
 Każdą szlachetną, zacną myśl
 I każde wiedzy ziarno,
 Do serca bierz i w duszę chłoń,
 Jak w żyzną rolę czarną!...

* * *

Zamykając I-e półrocze roku bieżącego, prosimy czytelników naszych o jak najspieszniejsze nadsyłania prenumeraty na II-e półrocze lub III-ci kwartał, dla uniknięcia przerwy w otrzymywaniu pisma, i co za tem z konieczności iść musi, dla przerywania naszego wspólnego związku duchowego i wspólnej pracy, w tej dobie, gdy czytelnictwo może się z większą prawdą i pożytkiem rozwijać.

Kto z powodu odległości od kantorów pocztowych, przyjmujących posyłki pieniężne, ma pewne trudności w ich przesłaniu, niech zechce napisać na kartce, że pragnie dalszego nadsyłania „Wieczorów“, a należność odesłać może przy pierwszej dogodnej sposobności.

Po ukończeniu „Wspomnień z lat młodości“, które wzbudziły ogólne zajęcie, mamy zamiar zamieszczać inne **wspomnienia i tej samej epoki historycznej na Litwie.**

Posiadamy w tece kilka wyborowych powieści historycznych (między innemi Szymanowskiego), podróżniczych i z życia młodzieży szkolnej, zarówno do numeru jak i do dodatku książkowego, oraz szereg artykułów z nauk przyrodniczych i społecznych.

Zwracamy uwagę **na konkursy** ogłoszone w tym numerze i prosimy wszystkich naszych czytelników o rozpowszechnianie naszego pisma, którego wpływ, rozwój i doskonalenie się, zależy w znacznej części od powiększenia się liczby prenumeratorów i czytelników.

„*Wieczory Rodzinne*“ stanowią jakby dwa oddzielne pisma:

- 1) *Numer główny* dla starszej młodzieży i
- 2) *Osobny dział dla dzieci.*

Nadto dodają co miesiąc *zupełnie bezpłatny dodatek* w formacie książkowym, stanowiący na rok kilka tomów wyborowych powieści.

N. B. Listę książek *premijowych* dla prenumeratorów „*Wieczorów*“ podamy w № 27-m lub dzieł poważniejszych.



Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek.
 OGŁOSZENIA: po 15 kop. wiersz 1-oszp. petitu. ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

DŹDŻOWNICA.

Lattem, bawiąc się w ogrodzie, zdarza się wam często napotkać czerwonego robaka o ciele podługznem, grubem, jak obsadka pióra, a złożonem z licznych obrączek.

Widok jego nie wzbudza przyjemnego uczucia i wiele osób nim się brzydzi, ale niesłusznie, gdyż nic złego nikomu nie czyni, a przeciwnie, służy ku spulchnianiu ziemi.

Robaka tego nazywamy dżdżownicą albo glistą ziemną. Przypatrzmy się jej bliżej.

Ani głowy, ani tułowia, ani innych części ciała nie posiada, a jednak żyje i radzi sobie wcale nie gorzej od wszystkich innych stworzeń.

Gdzie się mieści rozum u niej — nie wiadomo, wie jednak wszystko, co jej potrzeba.

Nóg niema wcale, a rusza się doskonale i przechodzi z miejsca na miejsce, kurcząc i wyciągając swe kręgi.

Ulubionem jej miejscem jest wilgotna ziemia, w niej też skrzętnie wyszukuje przegniłe rośliny. A posuwa się w ziemi bez żadnej trudności: najpierw wsuwa ryjek, potem nadyma się mocno i rozszerza tym sposobem otwór, dalej posuwa jeden krąg za drugim, wchodząc coraz głębiej.

Dżdżownica nie posiada ani oczu, ani uszu, ani nosa, ani zębów, a jednak umie odnaleźć pokarm. Co prawda dżdżownica nie jest wybredna: przegniłe resztki zwierzęce, czy też roślinne wystarczą jej w zupełności, a tego ma pod dostatkiem w każdym gruncie, w każdej kupie śmieci. Tu się znajdzie i liść przegniły, i łupinka nasienia, którą wiatr przeniósł z jakiegoś kwiatka, skórka pędraka, skrzydło chrabaszczka i tysiące tym podobnych rzeczy. Wszystko to idzie na zdrowie glisty.

Od wczesnego dzieciństwa dżdżownica musi sama sobie wystarczyć. Zaledwie z jajka się wylęła, już o własnych siłach pokarmu szukać musi i ukrywać się przed nieprzyjaciółmi.

A nieprzyjaciół ma potężnych:

Kret, niby król podziemny, stale poluje na nią nawet w zimie.

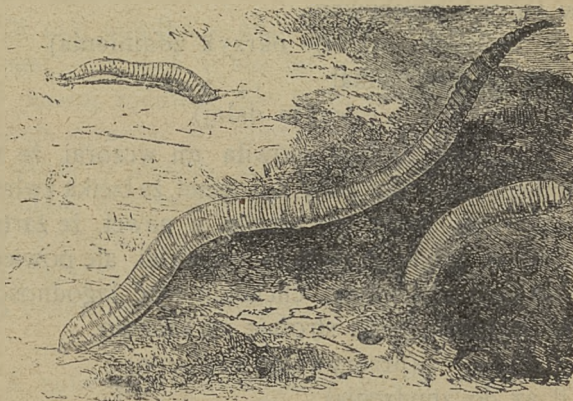
Za jego przykładem i kretomysz gnębi biedne robaki.

A kiedy czasem glisty wypełzną na wierzch, żeby obeschnąć lub wygrzać się na słońcu — zaraz zlatuje się mnóstwo drapieżników: to kruk, to wrona, jeden przed drugim porywają smaczny kasek i zjadają, jako najlepszy przysmak.

Biedny robak ginie, nie widząc nawet nieprzyjaciela.

Dlatego też wychodzi z ziemi tylko w nocy, gdy ptaki śpią jeszcze, i wtedy wylazi na ścieżki.

Marya Weryho.



Dżdżownica.



Monolog Izetki.

(Izetka, zajęta pisaniem, wstaje od stolika i, rzucając pióro mówi.)

Dość już mam tej nauki! tam słońeczko świeci, bawią się, gonią, skaczą, grają w piłkę dzieci, a ja tu siedzieć muszę, i mozołę głowę nad przebrzydłym dzieleniem!

Dopiero połowę zadania mam zrobioną! Dość, dość, tej roboty! Ach te nauczycielki! ani wlać ochoty do nauk nie umiem, ni co wytłomaczyć... Wczoraj naprzykład pytam, co to może znaczyć gdy gwiazda z nieba spada? Panna Marya na to tak długo rozpowiada, ażem się znudziła... I musiałam znów siedzieć, jak więzień za kratą!

A jak się też ubiera, w alejach czy w parku wygląda przy strojnisiach, jak dziewczka z folwarku, przechodnie pewnie myślą, że to jest służąca a nie mentorka nasza, a to rzecz drażniąca. Dla czego mnie rodzice nie pošlą do szkoły? tam, to się uczyć warto, tam nastrój wesoły, egzamina, nagrody, zabawy i bale...

My tu z panną Maryą nie bawim się wcale! Każe nam w rekreacye śpiewać wciąż piosneczki, kręcić się w kółko ciągle... niech małe dzieciętki, tak robią, skaczą, ja nie dziecko! A tu znów złą

[notę

dała za sprawowanie, rzecz dojdzie do mamy... Wykreślę ją, tak, zaraz; o, my się nie damy!

(przewraca kartki kajetu, z którego wypada arkusz zapisany, Izetka ogląda go, mówi zdziwiona.)

O! list rozpoczęty!...

Panny Maryi?... zobaczmy... pewnie jest zawzięty? na nas wszystkich, a na mnie musi piorunować! Choć to nie ładnie, muszę rzecz tę spenetrować.

(czyta)

„Kochana Stasiu! jakże mi boleśnie donieść wam, że za miesiąc będę zmuszona opuścić dom, w którym przebywam.

(Izetka wydaje okrzyk zdumienia)

A to niespodzianka!

(czyta dalej)

...Pani Solska mówiła mi wczoraj, że nie umiem sobie dać rady z dziećmi, że Izetka zwłaszcza wcale mnie nie słucha, a nawet, że żartuje sobie ze mnie. Prawda to po części, ale powiedz, com ja temu winna, chciałam ująć łagodnością, nie mogłam, teraz strofuję aż zanadto.

(przerywając czytanie)

O! aż do znużenia!

(czyta dalej)

...Kocham to dziewczę więcej jeszcze od innych dla bystrości jej umysłu, ale taka jest leniwa, a przytem uparta, próżna i zarozumiała, sama widzę, iż jej rady nie dam, i że trzeba mi stąd wyjechać...

(Izetka mówi)

O! trzeba, trzeba, jaknajprędzej...

(czyta dalej)

...Prócz tego, że pokochałam tę rodzinę całą duszą, że przylgnęłam do niej zupełnie, serce mi się kraje na myśl, że może kilka miesięcy upłynie, nim znajdę inne miejsce, a przez ten czas będę musiała żyć z zebranych oszczędności, i nic, ani tobie, ani matuchnie nie pošlę.

(przerywa czytanie)

Co słyszysz? a to ciekawe!...

(czyta dalej)

...Tobie jednej niepodobna podołać wszystkiemu: zarobić na utrzymanie i leczenie matuchny! Tak mało z domu wychodzić możesz z powodu jej choroby. Bóg widzi, że oddawałam wam każ-

dy grosz, nic sobie nie sprawiałam! Nawet nieraz wstyd mi było iść z dziećmi na spacer w tak znoszonym ubraniu i okryciu!

(przerywając czytanie)

Więc to taki był powód skromnego ubrania; dla matki się poświęca, dla jej utrzymania — a ja się wyśmiewałam z jej starej żakietki! o droga panna Marya!...

(ociera łzy i czyta dalej)

...Lecz co to znaczy, że mnie to boli, byleby tylko matuchna wyzdrowiała. Może Bóg da, że znajdę niedługo inne dobre miejsce, z łatwiejszemi do prowadzenia dziećmi, to będę wam znów przychodziła stale z pomocą “

(Izetka skończywszy list, mówi z zapalem)

Nie, nie, już Izetki

nie rzucisz panno Maryo, będzie inna zgoła, z jej winy żadna chmurka nie zmrocy ci czoła. Tak kochać ciebie będzie, tak uczyć się pilnie, że się wszyscy zdumieją, a mama usilnie będzie cię tu prosiła, byś z nami została. Przebac mi panno Maryo! jam cię nie poznała, ja cię dziś tak szanuję, jesteś dla mnie wzorem! gdybym cię nie kochała — byłabym potworem! Chcę jak ty być podporą, być chlubą rodziny, brzydę się dzisiaj sobą, naprawię swe winy, zobaczysz? o! nie poznasz od dziś twego trzpiota, moja pani najdroższa, kochana i złota!

(mówiąc to Izetka, wybiega z pokoju).

Izetce Słizieniównie

Gabryela Jundziłłowa.

Chronologia Królów Polskich.

Bolesław Wstydlivy (1243 — 1279).

Z pobożności i cnót słynie
Młody książę, syn Leszkowy,
Co wraz z żoną, Kingą świętą
Żywot iście miał cierniowy.

Drugi najazd, dzikie hordy
Jak potoki wpadły rwące.
Padł Sandomierz, Kraków płonie,
W jassy poszły znów tysiące.

Ale Polska, jak Ruś kornie
Nie chce w jarzmo iść Mongoła,
Walczy mężnie, męki znosi,
Broniąc kraju i kościoła.

Książę mnoży znów zakony,
Źródła wiary i oświaty,
I w Wielicze sól odkrywa,
Skarb podziemny a bogaty.

Aryela.

FENIKS

i Dywan czarodziejski.

(Ciąg dalszy.)

Na kominku paliło się drzewo ogień był mały lecz jasny, a drobne polanka leżały przygotowane przy kominku. Na wyblakłych ścianach wisiały portrety upudrowanych panów i pań. Na gzymsie nad kominkiem stały srebrne świeczniki, na środku pokoju krzeselka i stół na bardzo cienkich nogach. W pokoju było trochę pusto, ale przyjemnie i wesoło.

Na jednym końcu stołu mały chłopczyk, zupełnie niepodobny do dzieci angielskich, siedział na niewygodnym krześle z wysokimi poręczami. Miał na sobie czarne aksamitne ubranie i wielki kołnierz, nakształt krezy z karbowanego muslinu i koronek. Robert pomyślał, że wolałby umrzeć niż nosić coś podobnego, ale co prawda, mały Francuzik był o wiele młodszy od niego.

— O! jakże tu ładnie! — zawołały dzieci.

Ale ich zachwyt wzbudził nie chłopczyk w aksamitach, tylko choinka w czerwonej doniczce, stojąca na stole i obwieszona różnemi świecidełkami i kolorowemi papierami. Osadzone były na niej małe świece, ale się nie paliły.

— Tak, czy nieprawda, że to piękne? — zapytała blada pani. — Usiądźcie a zobaczycie...

Dzieci zasiadły rzędem na niewygodnych krzesłach pod ścianą, pani zapaliła od ognia kominkowego stoczek na długim kiju, zasunęła franki i pozapalała świece, a gdy już wszystkie zapłonęły, chłopczyk nagle zawołał:

— *Bravo, ma tante! Oh! que c'est gentil!*

Tymczasem pod kurtką Roberta zrobił się gwałtowny ruch, Feniks wydobył się, rozwinął złote skrzydła, frunął na drzewko i usiadł na jego wierzchołku.

— Ach! schwytajcie ją! — zawołała blada pani — spali się jeszcze ta wasza piękna papuga!

— Niech się pani nie obawia, — nie spali się — objaśnił Robert.

Chłopczyk zaczął klaskać małemi, czystemi rączkami; ale pani była wciąż tak niespokojna, że Feniks sfrunął z drzewka i zaczął przechadzać się po lśniącym, politurowanym stole.

— Czy ona mówi? — spytała pani.

Na to Feniks odpowiedział jej najczystsza francuszczyzną:

— *Parfaitement, madame!*

— Zadziwiająca papuga! — Czy potrafi mówić i o innych rzeczach? — zawołała pani.

Tym razem Feniks przemówił po angielsku.

— Dlaczego pani jest smutna przed tak uroczystymi świętami?

Dzieci spojrzały na siebie z przerażeniem, bo od najmłodszych lat wiedziały, że dobre wychowanie nie pozwala w towarzystwie obcych zapytywać głośno o powód zmartwienia. Błada pani naturalnie zaczęła na nowo płakać i powiedziała, że ten ptak nie ma serca. I zaczęła szukać chustki do nosa, a że nie mogła znaleźć, Antea ofiarowała jej swoją, choć była jeszcze mokra po myciu się w strumieniu — więc nie na wiele mogła się przydać. Antea zaczęła całować i pieścić płaczącą, a ta serdeczność okazała się jeszcze skuteczniejszą od zaofiarowanej chusteczki, bo zmartwiona pani przestała płakać, znalazła własną chustkę, otarła oczy i nazwała Antę „drogim aniołkiem“.

— Przykro mi bardzo, że przyszliśmy tu w taką chwilę, kiedy pani ma zmartwienie — odezwała się Antea — ale rzeczywiście chcielibyśmy się dowiedzieć, do kogo należą te ruiny zamku na wzgórzu?

— O! mój aniołku — odpowiedziała zmartwiona pani — i dziś i sto lat temu była to własność naszej rodziny. Ale jutro może będę potrzebowała sprzedać je — obcym — i mój biedny Henryś, który o niczem nie wie, nie będzie nigdy posiadał ojcowskich włości. Lecz co robić? Jego ojciec a mój brat — margrabia, wydawał dużo pieniędzy — a muszę — pomimo uszanowania dla rodziców — powiedzieć, że i mój ojciec także...

— A coby pani powiedziała, gdyby znalazła masę pieniędzy — setki i tysiące sztuk złota? — zagadnął Cyryl.

Błada pani uśmiechnęła się smutno.

— Ach! opowiedzieli wam już ludzie to podanie? Mówi ono, że dawno, bardzo dawno, jeden z naszych przodków schował tam skarb: złoto — dużo złota! tyle, że mogłoby z bogacić mojego Henryczka. Ale to wszystko — moje dzieci — to tylko bajki...

Ale w tej chwili Feniks szepnął Robertowi:

— Powiedz jej o znalezionym skarbie...

Więc Robert powiedział, a Antea i Kizia całowały bladą panią, obawiając się, że zemdleje z radości, jak to zwykle bywa w powieściach.

— Niema potrzeby tłumaczyć, w jaki sposób stało się to wszystko — dodał Robert na zakończenie, opowiedziawszy o znalezieniu skarbu, — bo pani trudno byłoby to zrozumieć, a jeszcze trudniej uwierzyć w to, co mówię. Ale możemy pokazać, gdzie leży złoto i dopomóż pani do zabrania go.

Błada pani popatrzała z niedowierzaniem na Roberta, odwzajemniając pocałunki Antei i Kizi.

— Nie! on nie kłamie! — upewniała Antea. — To jest szczerą prawdą — prawdziwą prawdą! A my tak bardzo się tem cieszymy...

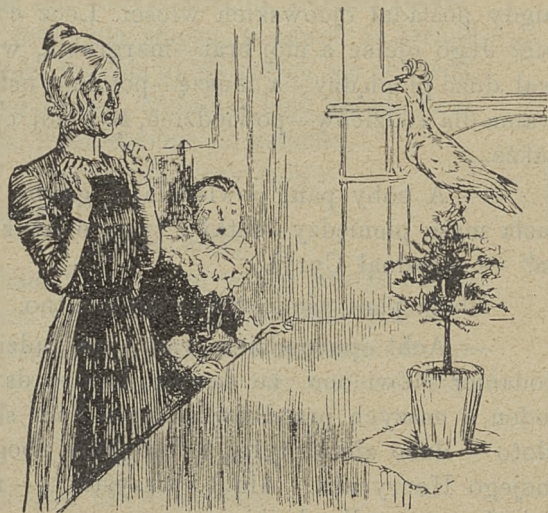
— Nie bylibyście chyba zdolni do pastwienia się nad starą kobietą? — spytała błada pani. I chyba nie jest to sen?

— To jest rzeczywista prawda — dodał Cyryl — i miło mi, że mogę pani powinszować...

Jego grzeczne powinszowanie przekonało Francuzkę więcej niż poprzednie opowiadania.

— Jeżeli to nie sen — powiedziała — Henryś pójdzie do starej Masson, a wy — wy... pójdziecie ze mną do księdza proboszcza. Wszak dobrze?

Masson była to stara służąca, z głową owiazaną żółtą chustką. Zabrała Henryczka, który był już śpiący po wzruszeniach z drzewkiem i gośćmi, a pani domu włożyła czarne okrycie, dziwaczny czarny jedwabny kapelusz, na prunelowe buciki nadziała drewniane czarne saboty, i całe towarzystwo wyruszyło do białego domku przy drodze, gdzie stary ksiądz z pocziwą twarzą przywitał ich bardzo grzecznie, osłaniając tą grzecznością wielkie zadziwienie.



Feniks usiadł na wierzchołku drzewka (str. 103.)

Błada pani poruszając rękami i ramionami, opowiadała mu drżącym głosem o całym zdarzeniu. A ksiądz, który nie mówił po angielsku, wzruszał tak samo ramionami i odpowiadał jej żywo.

— On myśli — szepnął Feniks — że zmartwienie przyprawiło ją o obłąd. Co za szkoda, że nie mówicie po francuzku!

— Ja umiem dużo po francuzku — odszepnął mu oburzony Robert — ale tylko o ołówku syna ogrodnika i scyzoryku siostrzenicy piekara, a to wszystko na nic mi się nie zda w tym razie.

— A gdybym ja przemówił — szepnął ptak.

— Powiedz mi, a ja powtórzę..

— Dobrze, powiedz tak: „*C'est vrai, monsieur. Venez donc voir*“ — wyrzekł Feniks.

Zadania i łamigłówki.

Niteczka Aryadny.

uł. Aes.

	ma	lą	kit	ny	koń	ca	
gło	wę	w ten	błę	krag	bez	i	ty
nieś	pod	ka	li	rę	dźwi	się	ucz
i	ty	traw	cha	w gó	ga	szu	kać
mi	kie	da	każ	od	się	ło	śmia
mi	wszyst	patrz	jak	zie	mi	jas	nej
ra	two	od	świat	do	jak	dy	praw
	cha	dy	ca	stoń	ca	stoń	

Szarada — figiel.

ułożyła Zosi Ordężanka.

*Pierwsza pół licha, druga pół chłopca,
Cate to nazwa, wszystkim nie obca.*

Zagadki ludowe.

podał Dzieciołek.

I.

Ma nogi — nie chodzi
Ma rogi — nie bodzie.

II.

Bez ciała, bez duszy,
Za mną idzie, gdzie się ruszę.

Rozwiązania do № 24.

Liczbówki: Wśród Łotyszów, tytuł powieści, wychodzącej w „Wieczorach“.

Zadania konikowego: Fortuna kołem się toczy.